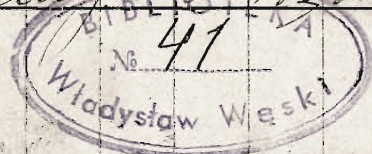


Władysław Węski 1926
roku



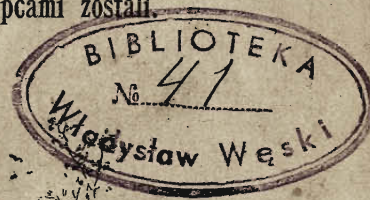
O SMUKOWIANACH

1927..R BIBLIJOTEKA
WŁADYSŁAWA--WĘSKI

Władysław Węski
HISTORIA

Smukowianach,

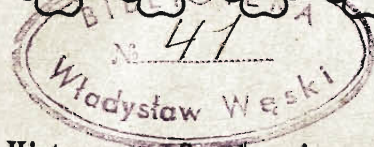
którzy poniechali rozum, oddali się bla-
żeństwu i w końcu głupcami zostali.



CHEŁMNO.

Drukiem i nakładem W. Fiałka.

1927..R BIBLIOTEKA
WŁADYSŁAWA--WĘSKI



Historya o Smukowianach.
1927..R BIBLIOTEKA
WŁADYSŁAWA--WĘSKI
1.

W potężnem królestwie Utopii, po za Kalekutą, leży wioska, zwana Smukowo. Do mieszkańców tejże wioski da się w sam raz zastósować stare przysłowie: »Jaki ojciec taki syn, jaka mać taka nać,« gdyż i oni wstępowali zawsze w ślady swych przódków i byliby zapewne w tem wytrwali, gdyby konieczność, która żadnym prawom nie podlega, jakoteż dobro ojczyzny nie zmusiły ich były do wstąpienia na inną drogę.

Pierwszy obywatel Smukowa był człowiekiem nader mądrym i rozsądnym, rozumie się więc samo przez się, że nie pozwolił wzrastać swym dzieciom, jak nierozumnym bydłátkom. Jako wzorowy ojciec karcił wady swych dzieci i pouczał je we wszystkim jak najtroskliwszy nauczyciel. To też wkrótce posiadły one wszelkie cnoty i rozumy, tak że na całym świecie nie było mądrzejszych ludzi nad Smukowian. Sława o ich wysokim rozumie i o ich rzadkiej mądrości rozeszła się po wszystkich krajach i doszła do uszu książąt i panów, gdyż światło trudno ukryć pod korzec.

Dlatego zdarzało się często, że cesarze i królowie z dalekich krain wysyłali posłów do Smukowian, aby w wątpliwych sprawach zasięgnąć ich rady; dobrych rad było bowiem u nich zawsze podostatkiem, gdyż



114971

K-60/81/ 130262

przesyceni byli na wskroś mądrością. Przekonano się też zawsze, że rady, które udzielali, nie szły nigdy na marne. Przez to zdobyli sobie w świecie wiele rozgłosu i sławy. Obsypywano ich złotem, srebrem i innymi kosztownościami, gdyż zdolności umysłowe ceniono na onczas wiele wyżej niż dzisiaj. W końcu przyszło do tego, że książęta i panowie, którzy się bez ich rad wcale już obyć nie mogli, uznali to wysyłanie posłów do nich za rozwlekłe i każdy pragnął mieć jednego Smukowianina na swym dworze, ażeby mógł zasięgać jego rady i z jego rozmów, jak z niewyczerpanego źródła najczystszej wody, czerpać rozum i mądrość.

Prawie więc codziennie przysyłano posłów do Smukowa i to tego to owego z jego mieszkańców powołano w dalekie kraje. Wkrótce przyszło do tego, że prawie ani jeden obywatel w domu nie pozostał, lecz wszyscy byli daleko w świecie. Niewiasty musiały zatem mężów zastępować, rolę uprawiać, bydła doglądać, słowem załatwiać wszystkie sprawy, które wyłącznie do mężczyzn należą. Twierdzą niektórzy, że czyniły to bardzo chętnie, ale jak to zwykle bywa, praca kobiet, pomimo największych wysiłków z ich strony, w porównaniu do pracy mężczyzn, nie wiele znaczy i nie wiele przynosi korzyści, tak też było i w Smukowie. Ma się rozumieć, że mowa tu tylko o pracy, która wyłącznie do mężczyzn należy. Właściwe bowiem prace kobiet i mężczyzn różnią się bardzo od siebie; jak na przykład wszyscy mężczyźni nie są w stanie wydać na świat jednego dziecka, choćby nawet tak małego, jak Tomcio Paluch, chociażby się nawet do tego zabrali, jak ów błazen w bajce, któremu się zdawało, że z sera cielę wylęgnie, jeżeli na nim pilnie, jak kura na jajach siedzieć będzie, tak znowu z drugiej strony trzebaby wiele, bardzo wiele kobiet, ażeby zdobyć warowne miasto Wiedeń lub Toruń.

Władysław Weski

Pod nieobecność właścicieli pola Smukowa przestały rodzić, było dziczało, leniwało, chudło, gdyż tylko oko pańskie konia tuczy; statki i narzędzia rozpadały się, psuły, nie miał ich kto naprawić, a co najgorsza, dzieci, sługi, parobcy nie chcieli ani słuchać, ani do pracy uczciwie się zabrać. Parobcy mówili sobie: »Naszych panów nie ma, a każdy przecież nad sobą pana mieć musi, toć inaczej być nie może, jedno sami sobie bądźmy panami.« Koniec końcem, podczas gdy poczciwi Smukowianie nie dla miłości grosza, nie z chciwości, lecz jedynie ze względów na dobro publiczne starali się wszystkim służyć, wszystkim dogodzić i naprawić to, co w świecie było niedobrego, ponieśli sami niepowetowane szkody, i poszło im tak, jak temu, który dwóch bijących się chciał pogodzić, i sam w końcu od obydwóch ciężo odebrał.

O SMUKOWIANACH

2.

Ponieważ żonie bez męża a mężowi bez żony trudno się obyć, przeto cała żeńska gmina Smukowa, która chwilowo rej wodziła i mężów w urzędzie zastępowała, zebrała się wspólnie, ażeby radzić nad dobrem publicznym i grożącemu upadkowi zapobiedz. Po długich debatach i gadaninach zgodziły się nareszcie Smukowianki na to, że swych mężów trzeba im bądź co bądź do domu sprowadzić. W tym celu każały sobie ułożyć list i przez własnych posłańców rozesłały takowy na wszystkie strony i kraje, w których ich mężowie przebywali. List ten brzmiał jak następuje:

»My, cała żeńska gmina w Smukowie, przesyłamy Wam, nasi wierni, ukochani małżonkowie wszystkim razem i każdemu z osobna nasze najser-

deczniejsze pozdrowienie i podajemy Wam do wiadomości i rozważgi: Ponieważ, Bogu Najwyższemu dzięki, cały nasz ród tak rozumem i mądrością jest obdarzony i przed innymi uposażony, że nawet książęta i panowie z dalekich krajów pragną tę Waszą mądrość poznać i takową do swych interesów zastosować, i dla tego Was wszystkich do siebie od żon i dzieci, od dobytku i roli odrywają i tyle czasu przy sobie Was zatrzymują, że obawiać się należy, iż Was darami i obietnicami całkiem dla siebie zjedną i na zawsze do siebie przywiążą: przeto dla tego jesteśmy w wielkim kłopotcie. Nasze zaś sprawy w domu cierpią na tem bardzo: pola jałowiejają, bydło dziczeję, czeladź słuchać nie chce, a nasze dzieci, które my matki zwykle bardziej kochamy, jakby się należało, stają się coraz to swawolniejsze, o nieładzie, który się wszędzie wkłada, niż już nie wspominając. Zważywszy to wszystko, nie możemy zaniechać, ażeby Wam niniejszem Waszych obowiązków nie przypomnieć i do powrotu do domu Was nie zawezwać. Pomnijcie, jak długo przez Was opuszczone już jesteśmy; pomnijcie na dziatki Wasze, które pytać się nie przestają, gdzie przecie są ich ojcowie. Jakiejże wdzięczności po nich spodziewać się możecie, gdy dorosną i od nas się dowiedzą, żeście je tak bez pomocy i pociechy zostawili i na zagładę wydali? Czyż myślicie, że względy książąt i panów względem Was się nie zmienią? Starego psa, który zęby zjadł na polowaniu i zająca dognać już nie może, wiesz strzelec na pierwszej lepszej gałęzi i tak mu płaci za jego wierną służbę! O ileż chwalebniej i pożyteczniej by więc było, gdybyście w domu spraw swoich pilnując w spokoju i niezależności żyli i z żoną i dziećmi, krewnymi i przyjaciółmi cieszyli się i radowali! Moglibyście wreszcie i obcym ludziom służyć, a pomimo to ojczyznę nie opuszczać. Kto Was potrze-

bować będzie, ten z pewnością drogę do Was znajdzie. Wszystko to, drodzy małżonkowie, będziecie sobie umieli lepiej rozważyć, niż my napisać potrafimy. Spodziewamy się więc, że niezwłocznie opuścicie obce dwory i do domu wrócicie, jeżeli nie chcecie wkrótce cudzych ptaszków widzieć w swoim własnym gniazdku i usłyszeć od nich na powitanie: „Idźcie, zkądeście przyszli!“ Bądźcie więc mądrzy przed szkodą. Uchwalono w Smukowie i podpieczętowano Waszą własną pieczęcią, która na Was czeka.«

Skoro mężowie to pismo odebrali i przeczytali, wrzuciło się ich serce, i uznali za konieczne natychmiast wracać z powrotem. Poprosili więc swych panów o zwolnienie z obowiązków i wrócili do domu. Tutaj znaleźli wszystko w takim nieładzie, że pomimo całej swej mądrości pojąć nie mogli, jak w krótkim czasie ich nieobecności mógł się wkraść taki nieporządek. Naturalnie, że Rzym, który tyle lat i z takim mozołem budowano, można w jednym dniu zburzyć i w gruzy obrócić! Żony Smukowian cieszyły się bardzo z powrotu swych mężów; nie każda jednak przyjęła męża swego równo, były bowiem różnego usposobienia. Jedne przyjęły swych mężów mile i uprzejmie, jak się po uczciwych kobietach spodziewać należało z powodu zalet, jakimi ród niewieści szczególnie jest obdarzony; inne wpadły z furją na swych mężów i powitały ich wyzwiskami, jak to i w naszych czasach wiele niewiast ma w zwyczaju. Zresztą cieszyły się one wszystkie z powrotu swych mężów i wyprawiły ucztę wspólną; potem ale wyłożyły swym mężom, jak ich powrót był konieczny potrzebny, i prosiły ich, aby powetowali co byli zmudzili, i aby na przyszłość lepiej domu i gospodarstwa pilnowali, co też mężowie pod słowem uczciwości czynić im przyrzekli.

3.

Potem zebrali się Smukowianie, aby się naradzić, co im czynić należy, żeby im się na przyszłość obcy książęta o radę nie naprzykrzali i z domu ich nie odrywali. Ale że rzecz była wielkiej wagi, a dzień miał się ku schyłkowi, przestali na ten raz na sutej uczcie, przy której nie tylko mądrymi mowami, które słodsze są nad miód i piękniejsze nad złoto i srebro, ale i jadem i trunkami, jak na rozsądnych ludzi przystoi, obficie się uraczyli.

Następnego dnia udali się obywatele Smukowa pod lipę, gdzie się z dawien dawna letnią porą wszystkie narady odbywały. Zimą ratusz i gościniec był jednym domem, a miejsce przewodniczącego było za piecem. Rozważywszy nasamprzód wielkie straty, jakie wskutek swej nieobecności w domu byli ponieśli, i porównawszy je z korzyściami odniesionymi ze służby u obcych panów, okazało się, że straty były o wiele większe, niż korzyści. Poczęto więc radzić nad tem, jakby temu złemu zaradzić. Tam trzeba było słyszeć ich mądre i przewyborne rady, z którymi występowali! Jedni byli zdania, żeby obcym książętom wcale się nie udzielać; inni znów, że nie trzeba książętom tak od razu sobie zrażać, lepiej udzielać im rady niejasne, a to ich z pewnością odstreczy, tak że na przyszłość dadzą Smukowianom pokój. W końcu wystąpił jeden z najstarszych Smukowian i wypowiedział zdanie tej treści: »Ponieważ mądrość ich i niezwykły rozum jedynym były powodem, dla którego ich z domu odrywano i w cudze wzywano kraje, dlatego uważał za najlepsze, jeżeli się głupotą na przyszłość od natarczywości zasłonią. Jako ich dawniej dla ich mądrości w obce wzywano kraje, tak ich teraz dla ich głupoty w domu zostawia.

Dla tego jest zdania, żeby wszyscy bez wyjątku, niewiasty i dzieci, młodzi i starzy, wytwarzali najdziwniejsze rzeczy; co wogóle któremu z nich na myśl przyjdzie, to ma czynić. Ale do tego potrzeba właśnie najmędrszych i najsprytniejszych ludzi, gdyż nie jest to doprawdy łatwą sztuką, urząd błazna sprawować. Kiedy bowiem nie ma kto w tem biegłości i sprawa mu się tak dalece nie uda, że aż się zbłąźni, ten już na całe życie nazwę błazna zatrzyma, tak jak ptaki swój śpiew, dzwony głos, raki swój chód zatrzymują.«

Pomysł ten, jako rzecz bardzo ważną, roztrząsano z najwyższą powagą. W końcu uchwalono, aby pomysł ten we wszystkich punktach jak najdokładniej opisać i potem w czyn wprowadzić. Po tej ważnej uchwale rozeszli się Smukowianie do swych domów, przyrzekając każdy myśleć nad tem, w jakiby sposób zabrać się do udawania błazna. Co prawda ubolewał niejeden, że, będąc przez tyle lat rozsądnym i mądrym, teraz dopiero na stare lata błaznem ma zostać. Gdyż błazni sami najmniej znieść to mogą, żeby im głupotę, którą się sami tak brzydzą, błazen zarzucał i wytykał. Dla dobra jednak ogólnego, dla którego każdy z ochotą nawet życie poświęcić powinien, zgodzili się wszyscy na rozstanie się z swoją mądrością.

Tu zatem skończyła się w naszej historii mądrość Smukowian, a zaczynają się ich błazeństwa.

4.

Ponieważ Smukowianie mieli odtąd rozpocząć inny tryb życia i inne rządy, zatem na szczęśliwy początek zamierzali zbudować najprzód ratusz na wspólne koszty, ale to taki, któryby objąć mógł wszystkie ich

blazeństwa, znosił je i cierpiał. Że jednak nie pozbyli się jeszcze zupełnie swej mądrości i nie chcieli się ze swą głupotą tak od razu pokazać, gdyż przez to mogliby zdradzić, że ich głupota jest tylko udaną, przeto postanowili przystąpić do dzieła powolnie i z największą ostrożnością. Zbudowanie jednak ratusza uznawali wszyscy za sprawę najpilniejszą.

A gdy już wszystko omówiono, co do tak ważnego dzieła koniecznie potrzeba, okazało się, że niczego więcej nie brakło jak tylko lutnista, któryby dźwiękami swego instrumentu, jak Orfeusz lub Amfion, drzewo i kamienie na miejsce budowy sprowadził. Że jednak takowego nigdzie znaleźć nie było można, więc uradzili, aby wspólnymi siłami zabrać się do dzieła, jeden drugiemu pomagać i prędzej nie spocząć, aż cała budowla będzie wystawiona i skończona. Smukowianie, których rozum jak płomień lampy miał zgasać powoli, byli widocznie jeszcze wiele za roztropni, kiedy wiedzieli, że wprzód trzeba mieć drzewo i inne materiały, zanim się budować zacznie. Prawdziwi bowiem głupcy byliby się z pewnością bez drzewa, kamieni i wapna do budowy zabrali. Dlatego poszli wszyscy zgodnie jak jeden mąż do lasu, położonego poza górą w dolinie, i za radą swego budowniczego zaczęli ścinać drzewo. Kiedy było już z gałęzi poobcinane i na budulec gotowe, wtedy życzyli sobie tylko mieć łuk, aby je nim mogli do domu pozestrzeliwać; w ten sposób myśleli sobie oszczędzić pracy i mozołu. Ale że łuku nie mieli, musieli się tej pracy sami podjąć. Z wielkim tedy trudem i mozołem wewłóczyli drzewo z doliny na górę i z drugiej znowu strony z niemniejszym trudem na dół ściągali. Zostało tylko jeszcze jedno, które podług ich mniemania było ostatniem. Zabrali się więc i do tego drzewa, zawiązali liny około niego i ciągnięciem i pchaniem wdostali je na szczyt

góry i z drugiej jej strony na dół zwłóczyć je zaczęli. Czy jednak przez ich nieostrożność, czy też że powrozy i liny były za słabe: dość że drzewo im się wymknęło i kulało się, dopóki się na dół nie skulięło i przy innem drzewie nie ułożyło. Takiemu rozumowi martwego drzewa przypatrywali się Smukowianie z upodobaniem i wydziwić się nie mogli. »A to do prawdy prawdziwe z nas głupcy,« odezwał się nareszcie jeden z nich, »żeśmy sobie tyle mozołu zadawali, ażeby to drzewo dostać z góry na dół; dopiero ta belka musiała nas nauczyć, że bez naszej pomocy byłoby ono na dół zeszło!« »Temu łatwo zaradzić,« rzekł inny; »kto je ściągnął na dół, niechaj je znowu napowrot na górę wciągnie! Kto więc jest mego zdania, niechaj się spieszy! Skoro tylko dostaniemy to drzewo na górę, będziemy je potem mogli znowu łatwo na dół skuliąć. Wtedy z przypatrywania się będziemy mieli uciechę i za nasze trudy doskonale się zabawimy.«

Rada ta spodobała się wszystkim Smukowianom niezmiernie; wstydział się też jeden przed drugim, że sam nie wpadł był na ten pomysł, a jeżeli przed tem, ściągając drzewo na dół, mieli mozołu niemało, to teraz mieli potrójnie tyle pracy, zanim je znowu na powrót na górę dostali. Tylko owe drzewo, które z rąk im się było wymknęło i samo z góry skulięło, dla jego wielkiego rozumu pozostawili na dole. Mając już wszystko drzewo na górze, zaczęli je jedno po drugim spuszczać znowu na dół, z zadowoleniem przypatrując się, jak się ono samo na dół staczało. Dumni z tej pierwszej próby swego blazeństwa, udali się uradowani do domu i wstąpiwszy po drodze do gościńca, uraczyli się hojnie na koszt gminy.

5.

Gdy już drzewo było obrobione, kamienie, piasek i wapno zwiezione, zabrali się Smukowianie z takim zapałem do budowy, że każdy, kto tylko spojrział, przyznać musiał, że im o rychłe ukończenie budowy chodziło. W kilka dni były trzy główne ściany gotowe, gdyż, chcąc mieć coś niezwykłego, ratusz trójkątny mieć chcieli. I resztę budowy ukończono niebawem; zostawiono tylko z jednej strony wielki otwór czyli bramę w murze, aby nią siano do gminy należące wnieść było można. Bramą tą, o czem wcale nie myśleli, przysłała się także bardzo ich panu sołtysowi, inaczej musiałby był tenże wraz ze sędziami i radcami idąc na naradę przez dach włazić, coby wprawdzie odpowiednem było ich błazeństwu, ale bardzo niewygodne a do tego karkołomne.

Potem zabrali się do wzniesienia dachu, który jak budowla miał być także trójkątny; postawili kozły na mur, i tak całe dzieło aż do szczytu podług swego nniemania jak najlepiej wykończyli. Pokrycie dachu odłożyli na dzień następny i pobiegli ku gościńcowi, z którego karczmarz ręką na nich już kiwał, aby na koszt ogółu, tak jak dla dobra ogólnego pracowali, porządnie sobie podpić. Nazajutrz uderzeniem w dzwon dano znak do podjęcia pracy, przed tym zaś znakiem nie wolno było nikomu pracować. Wtedy zbiegli się wszyscy Smukowianie razem, weszli na wiązanie i porczyli dach pokrywać. Stanęli oni rzędem jeden za drugim; jedni na czubku dachu, inni niżej na łątach, które poprawiali; jedni na drabinie, drudzy na ziemi tuż przy drabinie, i tak dalej aż do stósu dachówek, który o dobry rzut kamienia leżał od ratusza. W ten sposób każda dachówka przechodziła przez ręce wszy-

stkich Smukowian, od pierwszego, który ją z ziemi podniósł, aż do ostatniego, który ją na właściwe jej miejsce położył, tak że z nich dach powstał. Że się jednak pracowitych koni nie ma ponad ich siły przeciążać pracą, więc urządzili się tak, że o pewnej oznaczonej godzinie zadzwonią we dzwonek na znak wypoczynku. Skoro więc ten, co stał najbliżej stósu dachówek, usłyszał pierwszy dźwięk dzwonka, rzucił natychmiast dachówkę, którą miał już w ręku, na ziemię, i biegł copędzej do gościńca, a za nim pobiegli i inni. Bywało zatem, że ci, co ostatni stanęli do pracy, pierwszymi byli w gościńcu i najwyższe miejsca zajęli za stołem. Tak samo postępowali sobie i cieśle. Skoro który miał topór podniesiony w górę do cieciga, a usłyszał pierwszy głos dzwonka, nie ciał już, lecz obróciwszy topór w ręku, spuścił go obuchem na drzewo i biegł zapijać.

Nareszcie po ukończeniu dzieła chcieli wejść do ratusza, aby go poświęcić na cześć wszystkich błaznów i przekonać się, jak się będzie w nim obradowało. Lecz zaledwo weń wstąpili, ogarnęła ich taka ciemność, że jeden drugiego dojrzeć nie mógł. Przelekli się tem niemało i nie mogli się wydziwić, coby tego było powodem; czy może przy budowaniu jakiego błędu nie popełnili, dla którego światło nie może się dostać do wnętrza. Wyszli więc na dwór, aby zobaczyć, gdzie się ten błąd znajduje. Przekonali się jednak, że mury były całe, i dach stał na nich nieuszkodzony, a nawet na dworze ratuszowi na świetle nie zbywało. Weszli więc napowrót do niego, aby zobaczyć, czy błąd czasem wewnątrz się nie znajduje; i znowu było tam ciemno jak w miechu. Prawdziwą zaś przyczyną tej ciemności w ratuszu było to, że okien w nim zrobić zapomnieli; tego jednak ani domyśleć się ani odgadnąć nie mogli, chociaż tak bardzo swoje błazeńskie

głowy nad tem łamali. Byli tedy w wielkim kłopotcie, i dla zaradzenia temu złemu całą gminę na naradę zwołali.

6.

Gdy nadszedł dzień obrad, stawili się Smukowianie bardzo licznie i zajęli swe miejsca. Każdy z nich przyniósł ze sobą zapaloną drzazgę i po usiádueniu załknął ją za kapelusz, ażeby w ciemnym ratuszu jeden drugiego mógł widzieć, i ażeby przy debatach sołtys każdego imię i nazwisko podać był w stanie. Przy obradach nad zaszłym wypadkiem dały się slyszec naj-sprzeczniejsze ze sobą zdania. Większość zdawała się przychyłać do tego, ażeby cały ratusz aż do ziemi rozwalić i na nowo go pobudować. Wtedy wystąpił jeden, który dawniej za najmędrszego uchodził a teraz naj-głupszym się chciał okazać, i rzekł: »Kto wie, czyby się czasem światło dzienne nie dało w miechach przenosić, podobnie jak się nosi wodę we wiadrach! Nikt z nas tego jeszcze nigdy nie próbował; dlatego zabierzmy się do dzieła, jeżeli się wam mój projekt podoba. Uda się, to dobrze, a wtedy jako wynalazcy tej sztuki zjednamy sobie nieśmiertelną sławę. Nie uda się, to będzie to naszemu podjętemu błazeństwu bardzo pożądanem i wygodnem!«

Ta rada tak się wszystkim Smukowianom podobala, że postanowili copędzej ją wykonać. W południe więc, kiedy słońce najjaśniej świeci, zebrałi się wszyscy przed ratuszem, każdy z naczyniem w ręku, w które chciał łapać światło dzienne i do wnętrza ratusza nosić. Niektórzy przynieśli z sobą także rydle, motyki, grabie, widły i inne narzędzia, ażeby na wszelkie sposoby próbować pochwycić światło.

Z uderzeniem godziny pierwszej rozpoczęli tę swoją przedziwną robotę. Wielu miało długie miechy, w które dali słońcu świecić aż do dna; poczem czempędzej je zawięzywali i zaniosłszy je co tchu do ratusza, światło z nich wytrząsali. Inni chwyłali światło w szczelnie przykryć się dające kadzie, kotły, cebry i tym podobne naczynia. Jeden zgrabiał światło na kupę i widłami kładł do kosza; inny wykopywał je rydlem z ziemi. Jeden mianowicie Smukowianin zasługuje na szczególną wzmiankę: chciał on światło dzienne schwytać w łapkę na myszy i, podstępem schwycone, zanieść do ratusza. Słowem, każdy czynił to, co mu jego błazeński rozum podyktował. Tak pracowali cały Boży dzien, dopóki słońce świeciło, ale tak mało swą pracą dokazali, jak przed wiekami olbrzymi, którzy jedną górę na drugą stawiali, chcąc się dostać do nieba. Rzekli tedy w końcu: »Bądź co bądź, byłaby to przecież sztuka nielada, gdyby się było udało!« Oddalili się zatem, i tyle jednak mieli w zysku, że mogli na koszt gminy udać się do gościńca i winkiem się uraczyć.

7.

Smukowianie byli właśnie wśród największej pracy, gdy przypadkowo pewien obcy wędrowczyk przechodził przez wieś i przy nich się zatrzymał. Stał on chwilę jak mur nieruchomie i przypatrywał się im z szeroko otwartemi ustami, które z wielkiego zdziwienia zapomniał zamknąć; ba, niewiele brakowało, a byłby i on stał się Smukowianinem, tak sobie głowę łamał nad tem, co to wszystko miało znaczyć, co ci ludzie robili. Aby się dowiedzieć rozwiązania tej zagadki, wstąpił wieczorem do gościńca i zapytał znajdujących się tam

Smukowian, co oni podczas największego upału słonecznego przed ratuszem byli robili? Odpowiedzieli oni bez wahania, że próbowali, czyby im się światła dziennego nie udało przenieść do ich nowo zbudowanego ratusza, w którym ciemno było jak w miechu.

Ów wędrowczyk był filut jakich mało i kuty jak to mówią na wszystkie cztery, poznał więc zaraz, że tu jest co do zarobienia i zarobku tego nie chciał z ręki wypuścić. Zapytał ich przeto z powagą, czy też swoją pracą co wskórali? A że oni kręceniem głowami odpowiadali, więc wędrowczyk rzekł: »Dlatego waszą pracą nic nie wskóraliście, żeście się do niej tak nie zabrali, jakym to ja mógł być wam doradzić!« W tych słowach wędrowczyka zabłysnął im promyk nadziei. Prosił więc go, aby im zechciał swej rady udzielić, przybiecując mu za nią w imieniu wszystkich Smukowian sowitą nagrodę. Wędrowczyk przyrzekł, nazajutrz to uczynić, a Smukowianie w wielkiej swej radości nakazali gościnnemu, aby mu dał na koszt gminy nocleg i jeść i pić wszystkiego do woli. Wędrowczyk nie opierał się naturalnie ich życzeniu; jadł i pił bez pieniędzy, co się zmieściło, jako na przyszłego budowniczego Smukowa przystało.

Gdy nazajutrz słońce na niebie znowu się pokazało, udali się Smukowianie z wydrowczykiem do ratusza i obejrzeni go starannie z góry do dołu, z tyłu i z przodu, z zewnątrz i wewnątrz. Wtedy wędrowczyk kazał im wejść na dach ratusza i dachówki pozdejmować, co też natychmiast się stało. »Otoż macie teraz światło w waszym ratuszu,« rzekł; »możecie je w nim tak długo zatrzymać, jak wam się będzie podobało. Gdy wam się sprzyrzy, możecie je każdego czasu znowu wypędzić.« Ale Smukowianie nie dorozumieli się, że on przez to chciał im powiedzieć, aby dachu ratusza nie pokrywali, gdyż będzie w nim zno-

wu ciemno jak przedtem; nie kłopotali się też wcale o przyszłość i zbierali się przez całe lato na narady w oświetlonym ratuszu. Wędrowczyk przyjął ofiarowaną mu nagrodę i copędzej wyniósł się z Smukowa, oglądając się raz poraz poza siebie, czy czasem może kto za nim nie pędzi, aby mu odebrać zapłatę, którą był za swą radę otrzymał. Nie pokazał się on też już więcej w Smukowie i po dziś dzień nikt nie wie, zkąd on przyszedł i dokąd poszedł; to tylko mówili Smukowianie o nim, że ostatni raz widzieli go z tyłu.

Smukowianie cieszyli się teraz swemu ratuszowi niezmiernie i mieli to szczęście, że przez całe lato podczas ich obrad nigdy deszcz nie padał. Tymczasem rokoszne lato zbliżyło się ku końcowi a ukazała się straszna zima, przynosząc ze sobą deszcz, śnieg i wiatry. Zmiarkowali to wnet Smukowianie, że chcąc zapobiedz temu, aby im śnieg podczas obrad na nos nie padał, trzeba im będzie ratuszowi dach przywrócić. Zabrali się też zaraz do pracy i wspólnymi siłami znowu ratusz dachem pokryli. Ale zaledwo to zrobili i do ratusza wejść chcieli, było tam niestety znowu tak ciemno jak przedtem, zanim się od wędrowczyka nauczyli sztuki oświetlania ratusza bez wnoszenia weń światła słonecznego. Teraz dopiero widzieli, że wędrowczyk szkaradnie ich wywiódł w pole; nie mogąc tego jednak już zmienić, postanowili na przyszłość znowu przy zapalonych i zatkniętych za kapelusze drzazgach narady swe odbywać. Pierwsze posiedzenie, które się potem odbyło, trwało do ciemnej nocy. Kiedy podczas tego posiedzenia przyszła kolej wotowania na jednego, który się nie miał za najgłupszego, powstał tenże i rzekł: »Ja radzę to, coby mój ojciec w podobnym razie radził.« To powiedziawszy, musiał w jakiejś ważnej sprawie wyjść z posiedzenia. Podczas kiedy w ciemności na dworze po omacku trzymał się

ściany (drzazga bowiem jego przy wyjściu zgasła mu była), spostrzegł przypadkowo w murze małą szczelinę, którą się promień światła przebijał. Przypomniał sobie tedy z ciężkiem westchnieniem swoją dawną mądrość, której się wszyscy byli wyrzekli, wszedł napowrót do sali i rzekł: »Pozwólcie mi przemówić słówko, kochani sąsiedzi.« A gdy wszyscy na to przystali, tak mówił dalej: »Pytam się was: czy może dać jeszcze większych głupców na świecie, jak my jesteśmy? Trąpimy się ciągle jeszcze naszym ratuszem, mamy ztąd kosztą i wystawiamy się na pośmiewisko, ponieważ błędów jego odkryć i poprawić nie umiemy: a żaden z nas nie miał tyle rozumu, żeby spostrzedz, iż nie zrobiliśmy w ratuszu okien, przez któreby się światło dostać mogło. Tego już doprawdy za wiele na początek naszego błaznowania; tak nie powinniśmy się byli od razu wysadzić, żeby się na tem każdy głupiec zaraz mógł poznać!«

Mowa ta przeraziła wszystkich i zamknęła im usta. Jeden spoglądał na drugiego i wszyscy wstydzieli się tej swej ogromnej głupoty. Nie czekali też już potem na dalsze wotowanie, lecz natychmiast zabrali się do wybijania okien w murze, i nie było ani jednego, któryby nie chciał mieć swego własnego okna. Zewnętrzna budowa ratusza była zatem ukończona.

8.

Skoro ciemności ustąpiły z ratusza zabrali się Smukowianie do wykończenia jego wnętrza. Między innymi zrobili trzy osobne izby, z których jedną przeznaczili do namyślenia się, drugą do dowcipkowania a trzecią do odpoczywania. Te trzy komnaty musiały

być najprzód wykonane, ażeby bez przeszkody mogli Smukowianie odbywać swe ważne narady. Byli oni teraz mniemania, że trójkatny ich ratusz ze wszystkim już ukończony i poświęcili go uroczystie na cześć wszystkich błaznów.

Tymczasem nadeszła zima i mróz dokuczał bardzo. Mimo wielkiego zimna wypadło im odbyć naradę i pastuch rogiem obwieścił to radnym. Ażeby gminie kosztów nie przysparzać, zabrał każdy z nich naręcz własnego drzewa do ogrzania sali obrad. Gdy atoli ogień założyć chcieli, okazało się, że zapomnieli postawić pieca, ba, nawet miejsca wolnego nie zostawili, gdzieby takowy postawić można. Przerazili się tem znowu niemało i złorzeczyli sobie za swą głupotę. Gdy więc zaczęli zastanawiać się nad tą sprawą, padły tam najrozmaitsze pomysły. Pewna część radnych była za tem, ażeby piec postawić za drzwiami. Ze zaś z dawien dawna było zwyczajem, że sołtys zimą z za pieca przewodniczył obradom, przeto mogłoby to być obrazą dla niego, gdyby miał siedzieć za drzwiami. W końcu radził wreszcie jeden z radnych, ażeby piec postawić na dworze przed oknem i tylko mu pozwolić zaglądać do izby. Czasami zaś, gdyby się okazała tego potrzeba, możnaby go przy głosowaniu także liczyć, gdyż jeżeli przemawiać nie będzie za sprawą, to nie będzie przecież i przeciwko niej. Sołtysowi zaś przeznaczyloby się najbliższe miejsce przy piecu, ażeby mu jego rozum nie zamarzał. Ze wszystkich ław przykłaśnięto tej mądrej mowie, jeden tylko starzec, który już dłużej był błaznem niż inni, odezwał się na to: »Przyjacielu, przecież ciepło, które należy się do izby, wyjdzie piecem! Na cóż nam tedy ów piec się przyda?« »Na to jest rada,« zawołał trzeci. »Mam ja w domu kawał starej sieci, którą chętnie gminie w ofierze złożę. Siecią tą zawiesimy drzwiczki u pieca, ażeby cie-

pło nie mogło z niego uciec. W ten sposób zaradzi się potrzebie, nie prawdaż, kochani sąsiedzi? Wtedy to dopiero będziemy mogli warzyć i prażyć i jabłka w rurze przewracać!« Mądrość tego Smukowianina wynoszono pod niebiosa i z wdzięczności za jego dobrą radę przeznaczono mu jako i całemu jego potomstwu najbliższe miejsce za piecem, tuż przy samej rurce. Na tem sprawę zakończono, i przezacni rajcy się rozešli.

9.

Gdy piec został postawiony, zebrali się rajcy Smukowa natychmiast na naradę. Tym razem toczyły się obrady przedewszystkiem nad tem, jakby nagromadzić zapasy żywności, któreby użyć można, gdyby kiedy drożyzna nastąpiła. Najwięcej chodziło im o sól, której w skutek wojny w sąsiednich krajach dostać nie było można, i dla tego wielki brak takowej dawał im się we znaki. Radzono im, aby się starali, iżby mogli mieć własną sól, bez której ich kuchnia, jak pole bez mierzwy, obyć się nie może. Po długich naradach uchwalili nareszcie co następuje: »Ponieważ znaną jest rzeczą, że cukier, który zupełnie do soli jest podobny, rośnie, wynika z tego, że i sól również na polu rośnie; wnosić to można mianowicie z tego, że sól ma ziarnka, gdyż mówi się zwykle: 'ziarnko soli' itd.: postanawia przeto wysoka rada Smukowa, ażeby uprawiono kawał pola do gminy należącego i posiano na niem sól w imię Boże. Nie ulega wątpliwości, że w ten sposób będziemy mieli własną sól i nie będziemy potrzebowali o nią innym do nóg upadać.«

Uprawiono tedy dobry kawał pola i stósownie do uchwały prześwietnej rady obsiano solą. Cała rada jako

i wszyscy Smukowianie byli pełni nadziei, że Bóg pobłogosławi ich pracy, gdyż w imię jego siew w ziemię rzucono; zysku zaś takiego, jako owocu swej pracy, nie będą się potrzebowali przed nikim powstydić. W tem błogiem mniemaniu postawili strażników na wszystkich rogach pola, dali im długie ptasznicę do rąk i nakazali strzelać do ptaków, gdyby im przyszła ochota wylizywać lub wyjadać zasianą sól z pola.

Niedługo trwało, a pole zaczęło się zielenić i wydawać najrozmaitsze gatunki zielska. Smukowianie cieszyli się z tego niezmiernie i byli pewni, że tym razem sztuka im się udała. Co dzień chodzili na pole oglądać jak sól rośnie; co więcej, wmawiali sami w siebie, że słyszą, jak sól rośnie. Im wyżej wyrastało zielisko, tem bardziej wzrastała u nich nadzieja, i nie było pomiędzy nimi ani jednego, któryby w duchu nie był już zjadł przynajmniej beczki soli. Przykazali zatem surowo strażnikom, aby nietylko ptaki wystrzeliwali z pola, ale i bydło, owcom i świniom nie pozwolili na niem chodzić. Mimo to weszło nierozumne bydło na dobrze uprawne i zasiane pole i niszczyło zasiew solny. Strażnik, który to spostrzegł, wiedział dobrze, co mu przykazano, ale w tej chwili stracił głowę, i zamiast bydło z szkody wypędzić, pobiegł do miasta i opowiedział to nieszczęście sołtysowi i radzie. Ta zmiarkowała też wnet, że ptasznicę przeciw czworonożnym zwierzętom na nie się nie przyda i po długiem łamaniu sobie głowy powzięła taką arcywądrą uchwałę: czterech członków prześwietnej rady, przed którymi bydło będzie miało może więcej strachu jak przed zwyczajnymi ludźmi, wsadzą strażnika w kosz, wezmą go na swe ramiona, dadzą mu długą różgę w rękę i obnosić go będą tak długo po solnem polu, dopóki zuchwałego bydła nie wypędzi. Tak się też stało; strażnik odbył pochód w lektyce niby cesarz

rzymski, a czterej radni tak ostrożnie swemi szerokiemi nogami stąpali, że rośliny solne żadnej ztąd nie odniosły szkody.

Ziele solne (za takie je przynajmniej Smukowianie uważali) rozwijało się i kwitło nie inaczej od zwykłego zielska. W czasie gdy stało na dojrzeniu, wypadło jednemu z Smukowian przechodzić tamtędy w jakiejś ważnej sprawie. Spojrzawszy na łany solne, nie mógł się przewyciężyć, aby nie uszczknąć trochę tego ziela i do ust nie wziąć. W istocie była to pokrzywa, która mu język tak poparzyła, że z bólu nie wiedział co miał robić; ale to właśnie zrobiło go niewymownie wesołym, bo był pewnym, że zasiew solny dojrzał i że on pierwszy będzie, który tę wiadomość do domu zaniesie i nagrodę otrzyma. Pobiegł też natychmiast do miasta i uderzył w wielki dzwon, ażeby się wszyscy Smukowianie zgromadzili i tę radosną nowinę usłyszeli. Gdy się zeszli, przemówił do nich drżąc całą z radości: »Cieszcie się i radujcie: ziele solne dojrzeło i jest już tak ostre, że mi język poparzyło; z tego można wnosić, że będzie z niego sol wyśmienita!«

Tem spowodował, że wszyscy Smukowianie z sołtysiem na czele wyszli na pole solne. Sołtys pierwszy urwał listek ziela, wyciągnął język i posmakował; za jego przykładem poszła cała gmina, a wszyscy potwierdzili to, co im posłaniec obwieścił. Była zatem radość u nich nie mała, a każdy widział się już w duchu właścicielem wielkich zapasów soli. Gdy nadszedł nareszcie czas żniw, przybyli Smukowianie z koźmi, wozami i sierpami, ażeby sól ciąć i sprzątać. Niektórzy przynieśli nawet ze sobą cepy, ażeby ją zaraz na miejscu wymłócić. Kiedy zaś przyłożyli rękę do cięcia soli, okazała się ona tak ostrą i gorącą, że ręce wszystkim poparzyła. Spodziewali się wprawdzie, że tak będzie, z obawy jednak aby ich nie wyśmiano, nie mieli odwagi

zaopatrzyć się podczas gorącego lata w rękawice. Jedni radzili tedy, ażeby ją tak jak siano skoszono; inni znów, ażeby ją dla jej ostrości łukiem zestrzelono. Ostatnia rada podobała się wszystkim najlepiej. Ze jednak pomiędzy sobą żadnego strzelca nie mieli i byli w obawie, żeby ich sekret chodowania soli zdradzony został, gdyby sobie obcego strzelca sprowadzili, przeto zostawili całą tę rzecz w zawieszeniu tak długo, dopókiby lepszego sposobu żniwowania soli nie wymyślili. A jeżeli przedtem mało mieli soli, to teraz tem mniej jeszcze jej mieli, gdyż sporą ilość spotrzebowali na zasiew. Cierpieli tedy ogromnie na brak soli, szczególnież soli mądrości, która u nich zupełnie się wyczerpała. Dlatego łamali sobie głowę długo nad tą kwestyą i medytowali, czy może roli dobrze nie uprawili, że sól miała tyle ostrości w sobie; zastanawiali się też na kilku posiedzeniach rady nad tem, jakby tę rzecz na drugi raz lepiej przywieść do skutku.

10.

Wiadomo każdemu, że niegdyś mądrość Smukowian słygnęła daleko i szeroko po wszystkich krajach, tak że każdy umiał o niej coś powiedzieć. Było temu jednak już długie lata. Ale wieść o ich głupocie rozeszła się w krótkim czasie jeszcze dalej i szerzej i nie było prawie nikogo na całym świecie, któryby nie wiedział, co się u nich przytrafiło.

Stało się tedy, że cesarzowi potężnego mocarstwa Utopii, kiedy pewnego razu przyjechał w te strony swego państwa, w których Smukowo leżało, wiele uciesznych dykteryjek o Smukowianach opowiedziano. Zdziwił się temu cesarz niezmiernie, tem więcej, że

i on dawniej w ważnych sprawach z ich mądrości korzystał i rady u nich zasięgał. Ponieważ i tak musiał w tej okolicy zaczekać, dopóki się stany państwa nie zbiorą, które tam powołał, postanowił przeto odwiedzić osobiście Smukowo, aby się przekonać na własne oczy, jak się właściwie ma rzecz z głupotą tamtejszych jego poddanych. Wysłał więc posła, ażeby im jego przybycie oznajmił, aby mogli stósownie do tego poczynić przygotowania. Kazał im zarazem powiedzieć, że zostawi ich przy wszystkich dotychczasowych przywilejach i swobodach i nowemi ich jeszcze obdarzy pod warunkiem, że mu na jego pierwszą mowę, z którą się do nich odezwie, tak odpowiedzą, iżby się jego pozdrowienie i ich odpowiedź rymowały.

Biedni Smukowianie przerazili się niezmiernie tą wiadomością. Chociaż byli oni sobie tylko chłopami, którym woino być głupimi, jak niektórzy utrzymują, obawiali się jednak, ażeby cesarz nie pomiarkował, że ich głupota, to tylko udane rzeczy, i żeby nie popadli w jego niełaske. Najbardziej jednak obawiali się tego, aby ich cesarz nie zmusił do powrócenia do dawnego rozumu i dowcipu. Poszli więc po rozum do głowy, po rozum, który już dawno na bok odłożyli. Zarządzili w kuchni i stajni wszystko, co do wspaniałego przyjęcia cesarza było potrzeba. Na nieszcześnie, nie mieli wtedy właśnie sołtysa, ten bowiem, którego na początku swej przewrotności obrali byli, ogłupiał zupełnie ze zgryzoty i zmartwienia nad swoją poniechaną mądrością, był więc nieprzydatny do sprawowania nadal swego urzędu. Po długich naradach nad nowym wyborem sołtysa uchwalili wreszcie jednogłośnie: ponieważ na pierwsze słowa cesarza musimy wierszem odpowiadać, przeto będzie najlepiej, że sołtysem zostanie ten, który do dnia następnego najlepszy wiersz ułoży. Po tej ważnej uchwale udali się na spoczynek.

Całą noc łamali sobie zaci Smukowianie głowę nad wierszami, gdyż nie było między nimi ani jednego, któryby nie pragnął zostać sołtysem. Najniespokojniej jednak spał ten z Smukowian, który dotychczas innej gminie przewodził, to jest ten, który pasł świnie. Rzucił on się tak na łóżku, że żona jego wreszcie się obudziła i zapytała go, co mu braknie. Pastuch nie chciał nic wyjawić z obrad rady, i tylko z wielkim mozołem zdołała go żona nakłonić do tego, że jej powiedział, o jaką to ważną rzecz chodzi. Gdy jej się wreszcie zwierzył, z jakim zamiarem noszą się Smukowianie, wtedy tak dobrze ona pragnęła zostać sołtysiną, jak on sołtysem. Rzekła zatem: »Co mi dasz, jeżeli cię nauczę wiersza, że zostaniesz sołtysem?« »Jeżeli tej sztuki dokażesz,« odpowiedział wesoło pastuch, »to sprawię ci piękne nowe futro.« Z tej obietnicy była żona pastucha bardzo zadowolona, namyśliła się trochę i przepowiedziała mu wiersz następujący:

Moja żoneczka Ludwinia
Jest piękniejsza niżli świnia;
Pracowita jak osiołek,
A mądra jak w płocie kołek.

Wiersz ten przepowiedziała dumna z swej sztuki rymotwórczej Smukowianka dziewięćdziesiąt dziewięć razy swemu mężowi, a ten musiał powtórzyć go tyleż razy za nią, dopóki się go na pamięć nie nauczył. Ale i inni Smukowianie nie próżnowali, przeciwnie tak całą noc męczyli się nad układaniem wierszy, że im aż głowy popuchły, i nie było między nimi ani jednego, któryby nie spodziewał się zostać sołtysem. Kiedy zaś nadszedł dzień i sławetna rada zebrała się w komplecie, aby przystąpić do wyboru sołtysa, warto było posłuchać, jakie tam piękne i składne wiersze wygłaszano. Szkoda tylko, że przezacni rajcy jeden

jak drugi owem długiem udawaniem głupoty tak mieli osłabioną pamięć, że nie mogli sobie przypomnąć prawdziwej końcówki wiersza. Tak naprzykład piąty z kolei radny (wiersze czterech jego poprzedników zaginęły niestety) tak swój wiersz wygłosił:

Gdy sołectwa za me rymy nie otrzymam w zysku,
Żona oczy mi wydrapie i da mi po — gębie.

Z takich wierszy śmiali się wszyscy za każdym razem niezmiernie, z wyjątkiem naturalnie tego, na którego przyszła kolej rymowania. Skotarz stał zupełnie w tyle i odpowiednio stanowisku. Jakie zajmował, dopiero na samym końcu miał być przypuszczonym do wypowiedzenia swego wiersza. Był on w śmiertelnym strachu, ażeby kto inny jego wiersza nie wypowiedział i przez to sołtysem nie został. Gdy więc kto inny choć tylko słówko wypowiedział, które i w jego wierszach zachodziło, przeraził się tak, że mu o mało serce z piersi nie wyskoczyło. Kiedy wedle porządku przyszła nareszcie i na niego kolej, powstał i powiedział śmiało dobitnym głosem:

Moja żoneczka Ludwinia
Jest piękniejsza niżli — prosię;
Pracowita jak osiołek,
A mądra jak kołek w płocie.

»To mi wiersze!« zawołali jednogłoście radni Smukowa; »te już coś znaczą!« I przy głosowaniu padł wybór jednogłośnie na skotarza, gdyż wszyscy byli głęboko przekonani, że on będzie umiał odpowiedzieć cesarzowi rymowaną mową i godnie mu towarzystwa dotrzyma. Tak więc ten, który ostatniej jeszcze nocy był skotarzem, został teraz sołtysem w Smukowie.

11.

Pani sołtysina nie zapominała dopominać się często przyobiecanego jej futra, które zresztą dobrze sobie zasłużyła, i gdy pewnego razu sołtys w bardzo ważnych sprawach udawał się do miasta, włożyła mu na sumienie, ażeby bez futra nie wracał do domu. Nim jeszcze do miasta wstąpił, zapytał się już sołtys strażnika u bramy o dom kuśnierza. Gdy tenże mu takowy wskazał, pytał się dalej, czy też to aby jest ten kuśnierz, u którego panie sołtysine futra sobie kupują. Zmiarkował z tego strażnik, że temu człowiekowi piątej klepki braknie, posłał go zatem do bednarza, człowieka filuternego, u którego miał się o futra, jakie noszą sołtysine, zapytać. Poczczciwy sołtys poszedł w dobrej wierze, gdzie go posłano, powiedział bednarzowi, że jest sołtysem Smukowa i chce żonie futro sołtysowskie kupić. Bednarz poznał zaraz z kim ma do czynienia i odpowiedział: »Żałuję mocno, że panu sołtysowi nie mogę tak usłużyć, jakbym tego pragnął; wczoraj bowiem był targ i wszystkie gotowe futra sprzedałem. Radzę jednak waszej dostojności udać się do powoźnika, mieszkającego z przeciwnej strony miasta, tam dostaniecie futer, jakich tylko zechcecie.« Poszedł więc pan sołtys do powoźnika i objawił mu swoje życzenie. Ten zaś, będąc także filutem nielada, posłał go do stolarza, stolarz do siodlarza, siodlarz do organmistrza, organmistrz do studenta, student do introligatora, introligator do drukarza, drukarz do księgarza, księgarz wreszcie do piernikarza, gdzie wszystko do zjedzenia piękne.

Kiedy i tutaj zapytał sołtys o futra, odpowiedział mu piernikarz, że chwilowo nie ma żadnych; jeżeli jednak zaczekać zechce, to mu piękne futerko z pierni-

ka przykraję, przypasuje i upieczę; gdyby nie miało się ono podobać jego żonie, będą mogli je zjeść i nie się nie zmarnuje. Sołtys podziękował piernikarzowi za dobre jego chęci i oświadczył, że zbyt już długo biegał za futrem i żadnego czasu nie ma na czekanie; musi bowiem wracać do swego urzędu, gdyż jest sołtysiem w Smukowie. Piernikarz będąc niezupelnie złym człowiekiem i widząc, że dosyć już nakpiono z biednego sołtysa, wskazał mu wreszcie rzeczywistego kuśnierza, gdzie znalazł futra, jakie tylko pragnął. Tutaj też kupił pan sołtys nareszcie wspaniałe futro, któregooby się i pani burmistrzowa w mieście nie potrzebowała powstydzic. Gdy wrócił do domu, przyjęła żona futro z wielką radością, ubrała się w nie natychmiast, obracała się na wszystkie strony i pytała, czy też aby jej w niem dobrze. Sołtys domagał się teraz od żony, aby mu placków upiekła i w ten sposób wywdzięczyła mu się za sprawienie jej futra. Pani sołtysina przychyliła się do jego prośby i zaczęła jak za dawnych czasów piec placki na dobry palec grube. Gdy pierwsze z patelni przed nim postawiła, odsunął je od siebie z oburzeniem i rzekł: »Za co ty mię masz? Czy może myślisz, że jestem świniarkiem? Nie wiesz ty, że jestem panem sołtysiem w Smukowie?« Musiała mu zatem żona upiec delikatnych naleśników, które wspólnie spożyli i dobrem winkiem popili.

Całą noc następną przemyśliwała nowa pani sołtysina nad tem, w jakiby sposób wdziać na siebie swe nowe futro i w niem swemu mężowi i jego urzędowi na honor przed Smukowianami błyszczeć mogła. Wstała przeto bardzo wczesnie, a że to była właśnie niedziela, zaczęła się na gwałt stroić do kościoła, ażeby się tam wszystkim pokazać. Była ona zatopioną tak w tych swoich myślach, że nie słyszała nawet, jak do kościoła dzwoniło. Gdy się już ustroiła i męża, który

z lusterkiem musiał stać przed nią, ze sto razy zapytała, czy też ona aby z przodu i z tyłu wygląda, jak sołtysina wyglądać powinna, a tenże ją zapewnił że tak, wyszła nareszcie z domu i udała się do kościoła. Nie wiem, czy może za długo się stroiła, albo może kościelny za wczesnie fadzwnił, dość że kiedy wchodziła w swem nowem futrze do kościoła, skończyło się właśnie nabożeństwo i wszyscy z miejsc powstali. Pani sołtysina tłumaczyła to sobie jednakże zupełnie inaczej; wmówiła ona w siebie, że to przed nią jako przed swą panią sołtysiną i przed jej nowem futrem ludzie z miejsc popowstawali. Rzekła przeto tak grzecznie i uprzejmie, jak się tego w tym krótkim czasie wyuczyla zdołała, obracając się łaskawie na obie strony: »Kochani sąsiedzi, usiądźcie na swoje miejsca; przypominam sobie bowiem jeszcze te czasy, kiedym tak samo biedno i obdarto jak wy dziś do kościoła chodziła; usiądźcież dla tego przecież!« Krótco potem nadszedł i pan sołtys, który aż do tego czasu miał robotę z czesaniem i gładzeniem swej brody. Widząc jednakże, że wszyscy z kościoła wychodzą a tylko jego żona w ławce jeszcze siedzi i na kazanie czeka, wziął ją pod rękę i poprowadził do domu.

12.

Nareszcie wyruszył cesarz w drogę do Smukowa. Wiedzieli o tem Smukowianie i naradzali się z pospiechem, jakby go najgodniej przyjąć. W końcu postanowili cesarzowi wyjść naprzeciw i pierwsi do niego przemówić, ażeby dostać od niego taką odpowiedź, jaką sobie życzyli. Miał go przeto sołtys pierwszy zamówić temi słowy: »Witamy cię, cesarzu!« gdyż na to

cesarz będzie musiał koniecznie odpowiedzieć: »I ja was też.« A na to miał już sołtys rym gotowy: »Po lasach żyje dziki zwierz!« Tym wynalazkiem uważali swoje przywileje i swobody za uratowane. Chodziło im teraz tylko jeszcze o to, w jaki sposób wyjść naprzeciw cesarza, a w tej sprawie były ich zdania bardzo podzielone. Jedni chcieli, aby połowa z nich szła pieszo a połowa jechała konno i to zawsze jeździec i pieszy w jednym szeregu obok siebie. Drudzy zaś, aby każdy jedną nogę trzymał w strzemieniu i jechał, a drugą szedł po ziemi; byłoby to zatem pół pieszo, pół konno. Inni wreszcie byli zdania, żeby cesarzowi na drewnianych koniach wyjechać naprzeciw, gdyż takie konie są żywsze i wzorowsze i wnet oczyszczone i okiełznane. Ostatni pomysł uznali wszyscy za najlepszy i postanowili, żeby każdy ze swoim koniem był w pogotowiu, co się też i wnet stało, gdyż nie było ani jednego tak biednego, któryby się nie był u stolarza w siwosza, bułanka, gniadosza lub kasztanka zaopatrzył. Na tych rumakach harcowali od rana do wieczora i ujeździli je jak tylko najlepiej można.

Kiedy dzień oznaczony nadszedł i cesarz ze swym orszakiem nadjeżdżał, dosiedli Smukowianie co prędzej swych rumaków i wyjechali naprzeciw niego. Sołtys ujrzawszy cesarza, zeskoczył ze swej szkapy na kupę gnoju i zajął się przywiązywaniem swego drewnianego konika do płotu tuż stojącego. Że zaś do tego obie ręce potrzebował a przed cesarzem kapelusz zdjąć koniecznie wypadało, wziął więc takowy w zęby, zatrzymał go w nich nawet jeszcze po uwiązaniu swego konia i zamruczał przez zęby: »Witamy cię na naszym gruncie, dzielny paniczu cesarzu!« Cesarz nie zrozumiał powitania, lecz poznavszy na pierwszym rzut oka jak się ma sprawa z Smukowianami, domyślił się co sołtys chciał powiedzieć i rzekł: »Dziękuję wam, soł-

tysie, i ja was witam też!« Ale sołtys pochwycił znów mocno zębami kapelusz, który na pół był już upuścił, i odpowiedzieć nie mógł.

W ten sposób odbyło się przyjęcie cesarza, a gdy po chwili zapytał się on z uśmiechem sołtysa: »Czemuto jeszcze stoisz na tej kupie gnoju?« odpowiedział tenże jakby z iskierką dawnej swej mądrości wyjąwszy kapelusz z zębów: »Ach panie, ja biedny prostaczek nie jestem godzien, aby mię święta ziemia w waszej obecności nosiła!« Potem odprowadzili cesarza do mieszkania dla niego przeznaczonego. A że daleko było jeszcze do wieczora, uprosili cesarza, że poszedł z nimi na solne pole i obejrzał sobie ową cudowną ich roślinę; przy tej okazji wystósowali do niego najuniżeńszą prośbę, aby w razie udania się im ich sztuki hodowania soli, swoim wysokim przywilejem ich za to obdarzył, a cesarz z uśmiechem przyobiegał ich prośbie zadość uczynić.

Nazajutrz wydali Smukowianie wielką ucztę i zaprosili na nią cesarza. Oprowadziwszy go więc po wsi i pokazawszy mu swe kupy mierzwy, zawiedli go do swego sławnego ratusza i posadzili za stołem. Najprzedniejszą potrawą na tej uczcie była świeża, chłodna maślanka, z której się Smukowianie dość nachełpić nie mogli. Sołtys siedział z cesarzem u stołu; reszta zaś Smukowian stała z uszanowaniem w koło nich i z góry sięgała do miski. Ze względu na kosztą mieli oni dwojakie pieczywo w mleko wdrobione: przed cesarzem białe delikatne bułeczki, przed Smukowianami zaś czarny chleb razowy. Podczas gdy tak jedli, co komu było przeznaczono, nabrał jakiś prostak przypadkiem kawałek bułki i poniósł do ust. Spozrzegłszy to sołtys, uderzył prostaka w rękę i rzekł gniewnie: »Czekaj huncfocie, oduczę ja cię zjadać chleb cesarski!« Prerażony Smukowiak cofnął natychmiast łyżkę

i położył nagryziony kawałek bułki napowrót na miszkę. Cesarz widząc to, miał już dość tej uczty i zostawił Smukowianom ich maślankę wraz z bułkami.

13.

Cesarz zatrzymał się znacznie dłużej u Smukowian niż zamierzał, gdyż błazeństwa ich bardzo go bawiły. Gdy zaś sprawy państwa zmusiły go wreszcie do powrotu, oznajmił im, że wysłucha ich wszystkie prośby i zażalenia, jakie mu przedłożą, aby się przekonali, jakiego łaskawego monarchę w nim mieli. Ale Smukowianie mieli tylko jedno życzenie, to jest, aby i nadal wolnymi być mogli od swej dawnej szkodliwej mądrości, natomiast ażeby osobnym przywilejem zabezpieczył im na wieczne czasy ich zbawienne błazeństwo, tak ażeby im nikt nie mógł w niem przeszkadzać i za nie ich zaczepiać. Cesarz wśród serdecznego śmiechu przychylił się do ich prośby, przywilej na wieczne dzierżenie błazeństwa im wystawić kazał i takowy własnoręcznym podpisem i pieczęcią swą ją zaopatrzył. Potem wyjechał cesarz z powrotem do stolicy, a Smukowianie na swych drewnianych konikach odprowadzili go spory kawał drogi, za co otrzymali sowitą nagrodę.

Zaledwo stracili z ócz cesarza, wpadli natychmiast do pobliskiej wioski i zaczęli tam pić i używać co niemiarą. Gdy sobie doskonale podjedli a jeszcze doskonalej podpili, przyszła im ochota wyjść na piękne zielone błonie, jak to zwykli czynić różni panowie, aby się tam rozweselić i spożyte potrawy strawić; nie zapomnieli jednakże zabrać ze sobą kilka butelek dobrego wina i tak rozłożywszy się na murawie, hulali dalej do wieczora. Mieli oni zaś wszyscy spodnie je-

dnego koloru i przy hulance nogi jeden z drugim na krzyż pozakładane i poplątane. Kiedy więc przyszło do tego, że mieli wracać do domu, powstała u nich wielka bieda; żaden bowiem nie mógł poznać swych nóg, gdyż wszystkie jednako wyglądały. Siedzieli więc zaambarasowani, jeden spoglądał na drugiego a każdy obawiał się, aby mu kto inny jego nóg nie zabrał. Kiedy się tak kłopotą i pomoc sobie nie umieją, przejeżdżał przypadkiem drogą w bliskości nich jakiś jeździec. Tego zawezwawszy do siebie i opowiedziawszy mu swój wielki kłopot prosili, aby, jeżeli może, dopomógł każdemu z nich do odzyskania nóg własnych, a oni z pewnością wywdzięczą się mu za to dobrą zapłatą. Jeździec przyrzekł to uczynić, zszedł z konia i urznawszy sobie z pobliskich krzaków kijczak porządny, zaczął nim Smukowian doskonale po nogach okładać; kogo zaś uderzył, ten prędko porwał się z ziemi i miał już swoje nogi, gdyż ów jeździec poszukał mu je. Naostatku pozostał tylko jeden na murawie siedzieć i rzekł żałośnie: »Kochany panie, a ja nie mam moich nóg odzyskać? Tylko ode mnie samego nie chcecież nic zarobić? Albo czy te nogi nie są moje moje?« »Zaraz się o tem przekonamy,« odrzekł jeździec i ściągnął go kijem po nich, że aż kij w kawałki poszedł. Wtedy porwał się i ostatni z ziemi, i wszyscy byli radzi, że znów nogi swoje mieli. Obdarzyli jeźdźca sowicie i przedsięwzięli sobie na przyszłość ostrożniejszymi być ze swemi nogami.

14.

Na Smukowianach sprawdziło się, że przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Nie wyprawiali oni już teraz swoich błazeństw z mądrości, ale z prawdziwej,

odziedziczonej, wrodzonej głupoty. Nie umieli oni już nic zrobić, coby błędnym nie było; wszystko, co pomyśleli i rozpoczęli, było wierutnym głupstwem.

Naprzekład: Było raz między nimi dwóch, którzy usłyszeli, że w owych czasach wielu ludzi przez handel zamienny dorobiło się wielkiego majątku. To spowodowało ich do spróbowania w ten sposób szczęścia między sobą. Postanowili zatem mieniać się na swe domy, a postanowili to przy kieliszku, kiedy za otrzymane od cesarza pieniądze hulali, boć każdemu wiadomo, że takie rzeczy lubią się zdarzać, gdy winko do głowy wejdzie, a rozum z niej wyjdzie... Gdy więc przystąpili do wykonania zamiany, dał ten, który w górnej części wsi mieszkał, swój dom rozebrać i przeniósł go w dolną część wsi; drugi zaś, który dotąd w dolnej części mieszkał, zrobił to samo i przeniósł swój kawałek w górną część. W ten sposób uskuteczнили zamianę i myśleli, że każdy z nich dobrze na tem zarobił.

15.

Pewnego razu wyszli Smukowianie obejrzeć mur, który z jakiejś starej budowli jeszcze pozostał, aby się przekonać, czyby kamieni i cegieł z niego nie można korzystnie zużyć w interesie gminy. Zdziwili się oni jednak niemało, gdy przyszedłszy na miejsce, ujrzeli na murze piękną długą trawę; tej żal im było, gdyby się miała zmarnować, i zaczęli się naradzać, coby zrobić wypadało. Jedni byli zdania, aby ją skoszono, ale nikt nie chciał się tego podjąć i na mur wejść się odważyć; inni sądzili, gdyby strzelcy między nimi byli, toby najlepiej było ją zestrzelić. Wreszcie wystąpił sołtys i radził, ażeby bydło dać chodzić po murze,

a ono się już z trawą uprzytnie, tak że jej nie będzie potrzeba ani kosić ani zestrzeliwać. Do tej rady, jako widocznie u nich najlepszej, przychyliła się cała gmina i z wdzięczności za nią postanowiła, że krowa sołtysa pierwsza miała korzystać z tej dobrej rady; na co sołtys jak najchętniej się zgodził. Zadzierzgnęli tedy krowie mocną linę około karku, przerzucili takową przez mur i zaczęli z drugiej strony za nią ciągnąć. Gdy się pętlica zacieśniła, zaczęła się krowa dusić, i gdy już



prawie była u góry język wyciągnęła. Spostrzegłszy to jakiś wysoki Smukowianin, zawołał uradowany: »Ciagnijcie, ciagnijcie, jeszcze, jeszcze!« »Ciagnijcie, ciagnijcie,« zawołał także sołtys, »ona już trawę zwąchała! Patrzcie, jak język do niej wyciągnęła! Jest ona tylko za głupia i za niezgrabna, żeby sobie pomódz wleść na mur. Niechajże jej w tem który z was dopomoże i ją tam wepchnie.« Było to jednak darem-

nem: Smukowianie krowy na mur wdostać nie mogli, a gdy ją znowu na dół spuścili, spostrzegli, że ona już nie żyła.

16.

Smukowiankom nie szło inaczej jak Smukowianom. Zachowywały się one tak, jak gdyby błżeństwo z dawien dawna było ich udziałem. Poświadczy to następująca historia. Pewna wdowa uciulała sobie od swej jedynej kury tyle jaj, że myślała za nie przynajmniej trzy srebrniki otrzymać. Włożyła je zatem w koszyk i poszła z niemi na targ. Idąc sama jedna, przychodziły jej różne myśli do głowy; między innymi myślała też o swoim towarze, który na głowie niosła, rozmawiała sama ze sobą i taki sobie rachunek zrobiła: »Patrz,« mówiła do siebie, »na targu zbiorę trzy srebrniki. I cóż zrobię z niemi? Oto kupię sobie dwie kokoszki; te dwie i ta, którą mam w domu, zniosą mi w tyłu i tyłu dniach tyle i tyle jaj. Gdy te sprzedam, będę sobie mogła jeszcze trzy kury kupić, będę więc miała sześć kur. Sześć kur znieś mi przez miesiąc tyle a tyle jaj; te sprzedam i pieniądze schowam. Stare kury, które już nieść się przestaną, sprzedam także; młode będą mi dalej nieść jaja i kurczęta wylegać; z tych będę mogła część sprzedać a część zostawić do chowu; wreszcie będę mogła i kury podskubywać, jak się to z gęsimi robi. Z uzbieranych pieniędzy kupię sobie potem kilka gęsi, które mi zaopatrzą w pierze, jaja i gąsienią. W ośmiu dniach doprowadzę do tego, że będę sobie mogła kupić kozę, która da mi mleko i kozłatka. W ten sposób będę miała kury i kurczęta, gęsi i gąsienią, jaja, pierze, mleko, kozłatka a może nawet i weinę, gdyż muszę spróbo-

wać, czyby się koza strzydz nie dała. Potem kupię sobie maciorę; a wtedy do poprzednich zysków przyjdą jeszcze zyski za prosięta, słoninę, kiełbasy, kiszki itd. Potem kupię sobie krowę, a od niej będę miała mleko, cieleńta i mierzwę. Ale co pocznę z mierzwą? Naturalnie, że będę sobie musiała kupić kawał roli; z niej będę miała poddostatkiem zboża, tak że go już więcej nie będę potrzebowała kupować. Potem sprawię sobie konie i najmię parobków, którzy będą mi bydło doglądać i rolę uprawiać. Potem rozbuduję i powiększę mój dom, ażebym mogła służbę pomieścić i miała gdzie pieniądze chować. Potem dokupię sobie jeszcze więcej roli i łąk pastewnych. Nie będzie mi więc na niczem zbywało, bo będę miała dochody z kur, gęsi, jaj, mleka, wełny, kóz, kozłat, świń, prosiąt, krów (którym będę mogła jeszcze rogi upiłować i nożownikowi sprzedać); będę wreszcie miała dochody z cieląt, roli, łąk, komornego i wiele innych rzeczy. Wtedyto wezmę sobie młodego chłopczyka za męża, będę z nim żyła zgodnie i wesoło i będę bogatą, wielmożną panią! Oj będę ja sobie mogła tedy we wszystkim dogadzać i z góry na wszystkich spoglądać! Hop, hop, hopsasa!« Tak radując się wdówka, podniosła rękę do góry i podskoczyła; przy tej okazji trąciła ręką koszyk z jajami, tak że tenże runął na ziemię i wszystkie się jaja potłukły. Razem z jajami rozbiła się i jej wielmożność i leżała w błocie.

17.

Smukowianie pobudowali młyn, do którego kamień wykuli w łomach kamiennych na wysokiej górze. Kiedy kamień ów z wielką pracą i mozołem na dół ściągnęli, przypomnieli sobie dopiero, co robili niegdys

z drzewem do budowy ratusza potrzebnem, aby je bez wielkiego wysilenia z góry na dół zostać, to jest, że spuszczały je z góry a ono się samo na dół skuliwało, i mówili przeto między sobą: »W istocie wielkimi jesteśmy głupcami, żeśmy sobie tyle trudu zadali, aby ten kamień na dół spuścić, kiedyśmy mogli to byli prawie bez żadnej pracy uskutecznić! Powetujemy jednak nasz mózół, jeżeli kamień na powrót na górę wciągniemy i pozwolimy jemu samemu na dół się stoczyć, jak to z drzewem robiliśmy.« Wciągnęli zatem kamień znowu napowrót na górę. Kiedy zaś go właśnie zepchnąć chcieli, zapytał się jeden z Smukowian: »Jakżeż się jednak dowiemy, gdzie się kamień zatrzyma? Któż tam na dole będzie mógł nam to powiedzieć?« »Na to jest sposób,« rzekł sołtys, który dał był tę radę, »potrzebuje tylko jeden z nas wejść w otwór kamienia i stoczyć się razem z nim.« Tę radę uznano za dobrą i natychmiast wybrano jednego, który głowę przez otwór przetknąć i z kamieniem na dół popędzić musiał. U stóp góry był jednakże staw wielki i głęboki; w ten wpadł kamień wraz z swoim towarzyszem i oboje poszli na dno, tak że Smukowianie i człowieka i kamień stracili i nie wiedzieli, gdzie się obaj podziali. Nie umiając sobie tego inaczej wytłumaczyć, sądzili, że ich kompan, co towarzyszyć musiał z góry na dół kamieniowi, drapnął z nim w świat daleki. Kazali przeto po wszystkich miastach, wsiach i osadach okolicznych poprzybijając listy gończe tej treści: »Gdyby się miał kto pojawić z kamieniem młyńskim u szyi, należy go pochwytać i jako złodzieja ukarać.« Biedny ich kompan leżał tymczasem głęboko w stawie i tak się opił wodą, że ani się bronić ani usprawiedliwić nie mógł.

18.

Niedaleko Smukowa płynęła rzeka, nad którą stało wielkie drzewo orzechowe. Jedna wielka gałąź orzecha sterczała ponad wodą i nie wiele brakło a byłaby jej dotykała. Sposzregli to Smukowianie, a że byli oni sobie ludźmi prostymi i szczeremi, jakich dzisiaj trudno już napotkać, litowali się więc nad biednym drzewem i zaczęli nad tem radzić, co może właściwie braknąć temu biednemu drzewu, że się tak ponuro chyli ku wodzie. Kiedy już różne zdania padły w tej sprawie, rzekł wreszcie sołtys: »Jacy z was głupi ludzie! Widzicie przecież, że drzewo stoi na suchem miejscu i dlatego się ku wodzie chyli, bo by się rado napić chciało. Nie może być inaczej, jak że zwieszająca się gałąź jest dziobem drzewa, który ono po napój wyciąga.« Smukowianie nie namyślali się długo w tej sprawie. Myśleli oni, że spełnią uczynek miłosierny, jeżeli drzewo napoją, założyli przeto za jego wierzchołek grubą linę, stanęli z drugiej strony rzeki i ciągnęli z całej siły, ażeby je nagiąć do wody i napić. Gdy mieli je już prawie przy wodzie, kazali jednemu z ich kompanów wleźć na nie i zanurzyć mu dziób w wodzie. Podczas gdy tenże na drzewie siedział i gałąź na dół cisnął, zrywa się lina, gałąź do góry śmignęła i biedakowi co ją chciał zanurzyć w wodzie głowę urwała, tak że takowa do rzeki poleciała. Smukowianie nie spostrzegli co zaszło na drzewie, ujrzeni tylko ciało bez głowy spadłe z drzewa i przerazili się bardzo; odbyli zatem natychmiast naradę i roztrząsali na niej pytanie: czy ich kompan wchodząc na drzewo miał w ogóle głowę? Tego jednak żaden z nich nie wiedział napewno. W końcu rzekł sołtys: »Jestem mocno przekonany, że on musiał być bez głowy, gdyż

w drodze wołałem na niego ze trzy albo cztery razy, a żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Z tego wnioskuje, że on mego wołania nie słyszał, kiedy zaś nie słyszał, nie musiał uszu mieć, kiedy zaś nie miał uszu, nie mógł mieć i głowy, gdyż uszy zwykle znajdują się przy głowie. Na pewno tego jednak powiedzieć nie mogę; radzę przeto, aby posłano do jego żony i zapytano, czy jej mąż miał głowę, powstawszy dzisiaj z rana i udawszy się z nami do drzewa orzechowego.« Ta odpowiedziała: »Tego napewno nie wiem; wiem tylko tyle, że go w ubiegłą sobotę cesała, a wtedy miał jeszcze głowę. Od tego czasu nic zwracałem uwagi na jego głowę. Zresztą tam na ścianie wisi jego stary kapelusz; jeśli głowy w nim nie ma, musiał ją niezawodnie wziąć ze sobą, albo położył ją gdzieindziej, o czym ja nie mogę wiedzieć.« Zajrzeli tedy pod kapelusz na ścianie, ale tam nic nie było. I w całej wsi nie mógł nikt powiedzieć, co się z głową owego Smukowianina stało.

19.

Niedługo potem rozeszła się w kraju utopijskim wieść o bliskiej wojnie. Smukowianie przerazili się nią bardzo, gdyż obawiali się o swe mienie, ażeby im go nieprzyjaciel nie zabrał; najbardziej jednak obawiali się o dzwon, wiszący na ratuszu. Myśleli oni, że ten im nieprzyjaciel z pewnością zabierze i przeleje na armaty. Odbyli zatem bezzwłocznie naradę i postanowili jednomyślnie, ażeby go na czas wojny w jeziorze zatopić, a po wojnie i ustąpieniu nieprzyjaciela z kraju znowu go wydobyć i zawiesić. Włożyli tedy dzwon na łódź i wyjechali na jezioro. Kiedy go zatopili, odezwał się przypadkowo jeden z nich: »Ale

jakżeż odszukamy potem miejsce, gdzieśmy dzwon zatopili?« »O to niech cię głowa nie boli,« rzekł sołtys i wyrzwał nożem znak w łodzi w miejscu, z którego dzwon wyrzucili w jezioro; potem dodał: »po tym znaku rozpoznamy je z łatwością.« Wszyscy podziwiali mądrość sołtysa i byli o dzwon spokojni. Kiedy zaś wojna minęła, wyjechali znowu na jezioro, aby dzwon swój wydobyć z wody. Znak wyrznięty na łodzi odszukali wprawdzie z łatwością, ale tenże nie mógł im wskazać miejsca, na którym dzwon spoczywał. W ten sposób stracili Smukowianie swój dzwon ratuszowy i nie zdobyli się jeszcze do dnia dzisiejszego na inny.

O SMUKOWIANACH

20.

W tym niebezpiecznym czasie*zabłąkał się biedny niewinny rak do Smukowa. Kiedy go Smukowianie spostrzegli i zobaczyli, że ma tak wiele nóg i potrafi iść wstecz i naprzód, przerazili się bardzo, przedtem bowiem taki dziwoląg nie pokazał im się nigdy jeszcze na oczy. Uderzyli zatem w dzwon alarmowy, zbiegli się wszyscy razem, przypatrywali się dziwolągowi i łamali sobie głowy, coby też to być mogło. Nikt tego nie mógł wiedzieć, aż w końcu uczony sołtys powie-dział, że jestto prawdopodobnie krawiec, gdyż dwie pary nożyc ma przy sobie. Aby się o tem przekonać, położyli go Smukowianie na sztukę sukna, a gdziekolwiek rak po nim łaził, tam jeden z nich za nim biegły krawiec, chodzeniem swoim po suknie krój nowomodny wymyśla, który oni zaraz potem naśladować chcieli. W ten sposób pokrajali sukno tak, że się już na nic więcej nie przydało i dopiero teraz spostrzegli, że się oszukali. Wtedy wystąpił jeden z nich

i rzekł: »Mam ja syna bardzo doświadczonego, który w trzydniowej swej wędrówce dwie mile wduż i tyleż mil wszzerz świat zwiedził i wiele widział i słyszał, ten z pewnością widział już więcej takich zwierząt i będzie wiedział, czem ono jest.« Wezwano więc owego syna na narady. Ten przypatrywał się długo owemu dziwolągowi z przodu i z tyłu i nie wiedział, gdzie go uchwycić i gdzie on miał głowę: że zaś rak cofał się wstecz, myślał on, że głowa jest tam, gdzie był ogon. Nareszcie rzekł: »Widziałem ja już w mojem życiu wiele dziwnych rzeczy, ale coś podobnego jeszcze mi się spotkać nie zdarzyło! Jeżeli mam jednak powiedzieć, co to za zwierzę, to powiadam podług mego wysokiego rozumu: jeżeli to nie jest gołąb lub bocian, to jest to z pewnością jelen; jedno z tych trzech być musi.« Teraz wiedzieli Smukowianie tyle co przedtem, a gdy go jeden z nich chciał uchwycić, przywitał go rak nożycami tak, że zaczął wołać o pomoc i krzyczeć: »To jest zbójca, zbójca!« Widząc to inni Smukowianie, nie czekali na nic więcej, odbyli coperędzej sąd na miejscu, gdzie ich kompana skaleczono, i wydali na raka wyrok następujący: »Ponieważ nikt nie wie, coby to za stworzenie było, ale się okazało, że nas oszukało podając się za krawca, podczas gdy jest ono tylko marnem szkodliwym zwierzęciem, a nawet zbójcą: skazujemy je przeto jako oszusta i mordercę na śmierć przez utopienie w stawie.« Wykonanie wyroku polecono jednemu z ich grona. Ten wzięwszy raka ostróżnie na deskę, udał się do stawu i w obecności całej gminy Smukowa wrzucił go do wody. Gdy rak się poczuł w swoim żywiole, zaczął się trzepotać z radości i w tył się czołgać. Smukowianie nie mogli na to patrzeć bez wielkiego wzruszenia, a ci z pomiędzy nich, co miękkiego serca byli, zaczęli płakać i mówili: »Patrzcie tylko, jak to ciężko umierać!«

21.

Wieści o wojnie, w skutek których Smukowianie swój dzwon ratuszowy zatopili, nie były bez podstawy, w kilka bowiem dni otrzymali rozkaz dostawienia do stolicy kilkunastu ludzi do wzmocnienia załogi, co też i uczynili. Gdy jeden z owych wysłańców wchodził do miasta, napotkał pastucha pędzącego swoje poddane tj. woły, krowy i cielęta na pastwisko, i jedna z krow trąciła nieco rogiem naszego wojaka. Rozgniewany Smukowianin dobył sztylet z za pasa, zastąpił krowie drogę i rzekł: »Jeżliś jest poczciwą i rzetelną krową, to ugodź mię jeszcze raz!« Krowa nie uczyniła jednak tego, i tak wojak szczęśliwie zwyciężył.

Niedługo potem zrobili mieszczanie wycieczkę, ażeby nieprzyjaciela wytropić i chłopom kury i gęsi zabierać. Krótko zaś przed tem znalazł był wspomniany Smukowianin kawałek pancerza wielkości dłoni i dał go krawcowi, który mu właśnie nowy ubiór robił, aby mu go przed sercem w kaftanie zaszył. W ten sposób myślał być pewnym siebie i wytrzymać pchnięcia dzid nieprzyjacielskich. Krawiec przyrzekł jego woli zadość uczynić i z uśmiechem dodał, że ów kawałek pancerza na właściwym już miejscu zaszyje. Gdy ubiór był skończony, zrobił w nim Smukowianin razem z innymi wycieczkę z miasta, aby się dobrze łupami obłowić, ale zanim zdołał co porwać wypadli chłopci z chałup i puścili się za nim. Ażeby im się nie dać schwycić, chciał przeskoczyć przez płot, zahaczył się jednak spodniami o sztachety i zawisł na płocie. Wtedy zgnął go jeden z chłopów z tyłu niżej pasa tak, że całkowicie spadł z płotu na drugą stronę. Długo leżał tam w śmiertelnych strachach i w mniemaniu, że jest ciężko ranny. Skoro zaś nieprzyjaciel odciągnął, a on

žadnej rany nie czuł, zadziwił się niemało i obejrzał spodnie, spodziewając się, że przynajmniej one będą tam, gdzie zgnięcie dzida otrzymał, na wylot przesyte. Okazało się jednak inaczej, i przekonał się, że mu krawiec miasto z przodu w kaftanie, z tyłu w spodniach między podszewką ów kawałek panczerza był zaszył. Tej to okoliczności zawdzięczał, że go dzida nie przesyła, i zawołał uradowany: »Niechaj sto lat służy zdrowie krawcowi, który mi ten ubiór zrobił! Jakże on doskonale wiedział, gdzie u prawdziwego Smukowianina serce się znajduje!«

22.

Wojna minęła szczęśliwie, ale godzina Smukowian wybiła, mimo że żadnego zegara nie mieli. W całej ich wiosce nie było bowiem żadnego kota, ale za to tyle myszy, że nawet chleb w szafie nie był przed niemi bezpieczny. Co tylko gdzie postawili, wszystko one pożarły albo pogryzły. Z tej przyczyny byli oni we wielkim kłopotcie. Zdarzyło się, że owego czasu przez ich wieś znowu jakiś obcy wędrowczyk przechodził; miał on kota na rękę i wstąpił do gospody, aby się pokrzepić. Gospodarz zapytał go, coby to było za zwierzę? A on odpowiedział, że jest to pies, łowiący myszy. Że zaś myszy w Smukowie tak były śmiałe, że za białego dnia wszędzie sobie spacerowały i przed ludźmi nie uciekały, przeto puścił wędrowczyk kota na ziemię, który w oczach gospodarza nie małą liczbę myszy podusił. Gdy powiadomił o tem gospodarz radę gminną, zapytali Smukowianie wędrowczyka, czyby im za dobrą zapłatę tego psa nie odstąpił. Wędrowczyk odrzekł, że pies jego nie jest wprawdzie na sprzedaż,

ze względu jednak że go tak bardzo potrzebują, odstąpi im go chętnie i to za niską cenę stu złotych. Smukowianie byli radzi, że więcej nie zażądał, przystali na cenę kupna i pieniądze z kasy gminnej wypłacili. Zaraz potem zaniósł wędrowczyk kota do śpichlerza, gdzie zboże złożone mieli i gdzie najczęściej myszy się znajdowało, i oddalił się czempredzej, obawiając się, ażeby im się kupna żal nie zrobiło i pieniądze mu nie odebrali. Uchodząc zaś oglądał się często poza siebie, czy go kto czasem nie goni. Smukowianie zapomnieli się jednak byli zapytać przy kupnie, co ten pies jada; posłali zatem jednego z swego grona copredzej za wędrowczykiem, ażeby się go o to zapytał. Skoro zaś wędrowczyk spostrzegł, że ktoś za nim goni, zaczął jeszcze bardziej uciekać, tak że go dogonić nie było można. Wtedy zaczął za nim z dala Smukowianin wołać: »Co on je, co on je?« A ten odpowiedział: »Co mu się da, co mu się da!« Smukowianin przestyszał się i rozumiał, że wędrowczyk mówił: »Bydło i ludzi!« Wrócił zatem niezadowolony do domu i opowiedział to panom radnym. Ci przerazili się tem bardzo i mówili: »Skoro psu zabraknie myszy, zabierze się do naszego bydła, a w końcu pożre i nas samych, którzyśmy go za drogie pieniądze sobie kupili!« Odbyli zatem natychmiast naradę i postanowili kota zabić. Żaden jednak z nich nie miał odwagi do spełnienia tego bohaterskiego czynu. Zmienili zatem swoje pierwsze postanowienie i uchwalili jednogłośnie, ażeby go spalić razem ze śpichlerzem, w którym się znajdował; lepiej bowiem ponieść stratę, niż ażeby wszyscy życie postradać mieli. Tak rozumowali Smukowianie i śpichlerz swój ze wszystkich stron podpalili. Kot poczuwszy ogień, wyskoczył oknem i wpadł do pobliskiego domu, a śpichlerz spłonął do szczytu. Nikt nie był jeszcze w większym kłopotcie jak Smukowia-

nie, kiedy się swego psa-myszolapa pozbyć nie mogli. Zaczęli więc dalej radzić, kupili dom, w którym kot się znajdował, i podpalili go także. Ale kot wyskoczył na dach, siedział tam chwilkę i mył sobie według swego zwyczaju łapką głowę. Smukowianie zaś myśleli, że kot podnosi rękę i poprzysięga im zemstę za wydanie go na spalenie. Wtedy wziął jeden z nich długą dzidę i chciał nią kota przebić. Ten nie odczekał jednak pchnięcia, wskoczył na dzidę i zbiegł po niej na ziemię. Na ten widok struchleli Smukowianie, uciekli z żonami i dziećmi do lasa i dali ogniovi się palić. Ten rozszerzył się wkrótce na całą wieś i spalił ją do szczytu; kot wyszedł jednak cało z niebezpieczeństwa. W tym ogromnym pożarze spalił się Smukowianom także ich trójkątny ratusz wraz ze wszystkimi aktami i zapisami, ztąd pochodzi, że prócz ustnych podań, żadnych innych wiadomości o nich nie mamy.

23.

Biedni Smukowianie byli teraz w okropnej nędzy; ich domy były spalone, majątności i zbiory zniszczone. Na nowo się odbudować nie mieli odwagi, gdyż obawiali się, że pies-myszolap zaraz się do nich zjawi i zemstę swą na nich wyrze. Nie wiedzieli tedy innej rady, jak poszukać sobie innych mieszkań, gdzieby przed psem myszolapem bezpiecznymi być mogli. Opuscili zatem z żonami i dziećmi ojczyznę, rozproszyli się na wszystkie strony i rozkrzewili swój rod daleko i szeroko. Od tego czasu nie braknie Smukowian na całym świecie.



14971

* Tanie i ciekawe książki! *

- Antoś z Skalina**, jego porwanie przez cygankę, pobyt w jaskini zbójców, poznanie Boga i powrót do domu rodzicielskiego. Cena 30 fen.
- Asem i królowa duchów**. Napisał Ignacy Danielewski. Cena 40 fen.
- Baśnie i powieści gminne**. Z pism różnych autorów zebrał i wydał W. Fiałek. Cena 40 fen.
- Bolesław** czyli dalszy ciąg i koniec życia Genowefy. Powieść piękna i wzruszająca. Cena 50 fen.
- Bratobójca**. Powieść z czasów wielkorządnictwa Alby w Niderlandach. Osnuta na prawdziwym zdarzeniu, napisana przez ks. Heyduckiego. Cena 40 fen.
- Bukiet** najpiękniejszych i najciekawszych powieści i bajek (z obrazkiem). Cena 40 fen.
- Chata Wujka Tomasza**. Obraz z życia niewolników amerykańskich (z obrazkiem). Cena 30 fen.
- Cudowny lekarz**. Zajmująca i pouczająca powiastka dla młodzieży i dorosłych. Cena 30 fen.
- Cudowny los sieroty polskiej** w Paryżu. Powieść z czasów rewolucji francuskiej. Cena 40 fen.
- Czemu dziad zawsze dziadem**, choć mu wszyscy dają? Powieść. Napisał Ign. Danielewski. Cena 20 fen.
- Dobry Franuś i zły Kostuś**. Piękna i pouczająca powiastka dla rodziców i dzieci. Cena 1 mr.
- Dolina Almeryi**. Powieść dla młodzieży i starszych. Cena 60 fen.
- Doman i Liliana**. Ciekawa historia z dawnych czasów nowo opowiedziana przez Juliana B. Cena 40 fen.

Na przesyłkę zamówionych książek dołączyć należy po 10 fen. do każdej marki i przelać pieniądze naprzód pod adresem:

W. Fiałek w Chełmnie (Culm W.-Pr.)

★ Tanie i ciekawe książki! ★

Dziwne podróże i przygody Obieżyświata na lądzie i na morzu, na księżycu i wewnątrz ziemi (z wielu pięknymi obrazkami). Cena 50 fen.

Eustachiusz. Powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa. (str. 140) Cena 70 fen.

Gadu-Gadu! Zbiór najciekawszych powiastek, żartów, figli, anegdot, fraszek, kalamburów, dowcipnych pytań i odpowiedzi itd. itd. itd. Cena 30 fen.

Gawędziarz. Zbiór najciekawszych opowiadań i powieści o zbójcach, strachach, zaklętych skarbach i innych dziwnych sprawach. Z obrazkiem. Cena 50 fen.

Genowefa. Piękna i pouczająca historia z średnich wieków opowiedziana dla wszystkich dobrych ludzi, a mianowicie matek i dzieci (z obrazk.) Cena 40 f.

Głos Synogarlicy na pustyni świata tego jęczącej, to jest: duszy chrześcijańskiej rozmyślania, do Pana Boga wiecznego Oblubieńca wzdychania, w chrześcijańskiej pobożności ćwiczenia. Cena 1 m.

Hirlanda czyli zwycięstwo cnoty i niewinności. Historia budująca i pouczająca z dawnych czasów. Cena 40 fen.

Historia cudownego obrazu Matki Boskiej Bolesnej w Chełmnie (z obrazkiem) 10 fen.

Historia o Alim-Babie i czterdziestu zbójcach, zgładzonych ze świata przez jedną niewolnicę. Cena 25 f.

Historia o cierpliwej Gryzeldzie, córce ubogiego wieśniaka, wyszłej za mąż dla swych cnót i dobrych obyczajów za księcia sulurskiego. Cena 20 fen.

Na przesyłkę zamówionych książek trzeba dołączyć po 10 fen. do każdej marki i przesłać pieniądze naprzód pod adresem:

W. Fiałek w Chełmnie (Culm W.-Pr.)